

Herman

Jan Sowa – osadnik z byłej Jugosławii, mój dziadek.

Jan Sowa - syn Władysława i Rozalii, urodził się 21 kwietnia 1931 roku w Jugosławii, w miejscowości Seliszcz, w gminie Prnjavor. Prnjavor to miasto w Bośni i Hercegowinie, w Republice Serbskiej. Leży na północny wschód od Banja Luki. Jan urodził się w rodzinie rolniczo - rzemieślniczej. Ojciec mojego dziadka wyrabiał naczynia do użytku domowego z drewna, tj. cebrzyki, dzieże do wyrabiania ciasta, wiadra i beczki. Pradziadowie uprawiali „kawał” ziemi i hodowali bydło. Ziemię otrzymali ich rodzice z nadania cesarza Franciszka Józefa, którzy byli emigrantami z Polski w czasie zaborów (lata 1890-1900). W tym okresie Cesarstwo Austriackie nadawało przesiedleńcom obszar lasu, tzw. „12 dulin” oraz numer domu, którego nie było - trzeba go było sobie wybudować. W pierwszy roku po przybyciu prapradziadowie mieszkali w prowizorycznych szałasach i ziemiankach, zanim wybudowali drewniany dom. Życie było bardzo trudne i ciężkie. Polacy nie znali języka serbskiego, więc nie potrafili na początku się porozumieć. Serbowie byli nieufni do ludności napływowej, mieli inne zwyczaje i obyczaje, inaczej uprawiali ziemię, żywili się głównie chlebem z kukurydzy tzw. kruł, nie potrafili upiec żytniego chleba, spożywali dużo fasoli.

Przybyli Polacy zaczęli zakładać sady, winnice, wprowadzali do uprawy żyto i inne gatunki zbóż, których tam nie było. Z opowiadań dziadka, któremu opowiadał jego ojciec, mój tato wie, że ziemia pokryta była tam ogromnymi i prastarymi lasami bukowymi. By mieć ziemię do uprawy, trzeba było najpierw wykarczować las. Drzewa były tak duże, że trzeba było czterech ludzi, aby objąć obwód pnia. Pradziadowie mieli z Polski przywiezioną jedynie niewielką siekierę i piłę ręczną. Takimi narzędziami nie dali rady wykarczować drzew. Musieli zdobyć większe narzędzia, nie było to łatwe i proste. Ale jakoś się udało. Po wycięciu pnia, nie mogli wydobyć korzeni, więc w pierwszych latach siali zboże jedynie między pniakami. Dopiero później, gdy pnie mogli już usunąć i tym samym pozyskać większe kawałki ziemi do uprawy. W pierwszych latach ziemia była niezwykle urodzajna, stopniowo jednak wyjaławiała się. Nawożono ją obornikiem i siano przedplon w postaci łubinu. Po zakwitnięciu łubinu ziemię orano koniem i dopiero wtedy sadzono ziemniaki.

Prababcia Rozalia wspominała mojemu tacie, że owoce rosnące w sadzie były niezwykle słodkie, nie wymagały używania cukru. Wspominała również często okres II wojny światowej, mówiła o braku soli, której nie można było kupić, ponieważ jej nikt tam gdzie mieszkali nie dostarczał. Odzyskiwali sól z nawozu „koloru czerwonego”, który moczyli

w wodzie i w ten sposób uzyskiwali sól do spożycia. Prababcia mówiła również, że wielu ludzi chorowało i często umierało z powodu braku soli.

Mój dziadek jeździł z babcią na targ z własnymi wyrobami (topione masło, ser biały, jaja), by je sprzedać i mieć pieniądze na inne potrzebne rzeczy do domu. Mówiła, że topione masło kupowali Turcy, którzy nie używali tłuszczu wieprzowego. Prababcia musiała zbierać większą ilość masła do sprzedaży. Jedynym sposobem dłuższego przechowywania było przetopienie go na gorąco i trzymanie w niskiej temperaturze. Rozalia piekła samodzielnie chleb razowy jeden raz w tygodniu, mąkę kupowała w niedalekim młynie. Podczas wojny młyn nie były czynny, więc musiała samodzielnie na żarnach ścierać zboże na mąkę. Nie było to łatwe zadanie. Do jedzenia używano prosa, którego nasiona obrabiane były stępą.

Pradziadek Władysław zmarł w 1937 roku w Seliszczach na zawała serca. Prababcia Rozalia została z małym Janem - moim dziadkiem i niewielkim gospodarstwem. Dziadek Jan wypasał bydło na okolicznych łąkach, musiał je doglądać i poić. Po śmierci ojca pomagał mamie w gospodarstwie.



Fot. 1. Prababcia Janka – Rozalia Sowa, babcia Janka – Katarzyna Sowa, wujek Janka – Franciszek Sowa

Kiedy w roku 1939 wybuchła II wojna światowa przerwał naukę w szkole podstawowej, która została zamknięta. Miał wtedy 8 lat. Był to ciężki okres dla wszystkich mieszkańców małej miejscowości. W zamkniętej szkole było jedyne radio, chodzili tam

wszyscy ludzie z rodzinami posłuchać wiadomości dotyczących wojny. Prababcia opowiadała mojemu tacie, że ten okres był również niespokojny, ponieważ zwalczały się wspólnie ugrupowania partyzanckie tzw. Czetnicy, Ustasze i Titowcy. W tym czasie mój dziadek Jan, jako mały chłopiec pomagał w dostarczaniu mleka i żywności do szpitala polowego. Szpital zorganizowany był „pod chmurką” w lesie - było to około 1943 roku. Dziadek Janek pamięta jak niósł mleko i nadleciał samolot, który zaczął strzelać, wtedy rzucił bańki i zaczął uciekać, bardzo się wtedy bał. Jego kolejne wspomnienie to przeloty alianckich samolotów, które wspominał jako lecące stada ptaków. Pamięta, że jeden z samolotów został postrzelony i wylądował niedaleko ich miejscowości, wraz z kolegami poszli go oglądać.

Okolo 1944 roku nasiliły się negatywne nastroje nacjonalistyczne Serbów, którzy nie chcieli obcokrajowców u siebie. Prababcia Rozalia opowiadała mojemu tacie, że ludność zaczęła się bardzo bać, ponieważ dochodziło do podpaień domów i morderstw. Wkrótce, pod koniec 1945 roku, przyjechał do Seliszczyca wysłannik tymczasowego rządu polskiego. Poinformował ludzi o możliwości przesiedlenia do Polski na tereny odzyskane. Miejscowi wytypowali grupę, która pojechała do Polski, by zobaczyć tereny, na które mają zostać przesiedleni. Kiedy wrócili, opowiadali, że są to dobre tereny do zamieszkania. Moja prababcia Rozalia wraz z moim dziadkiem Janem podjęła decyzję o powrocie do Polski. W Bośni otrzymała przydział na określoną miejscowość, dom i kawałek ziemi. Zabrała więc dokumenty i to co się zmieściło do tobołka. Wsiadła z Janem do podstawionego pociągu i pojechali w nieznaną. Prababcia nie potrafiła opowiedzieć konkretnie o krajach, przez które przejechali, ponieważ była to trudna i długa podróż w zamkniętym wagonie. Pamięta jedynie pola papryki, stada owiec i węgierskich żołnierzy. Bardzo się bała. Pamiętała, że wysiedli z pociągu w Bunzlau (Bolesławiec) i szli na piechotę do obecnych Wartowic. Miasto Bolesławiec ogrodzone było drutem kolczastym a na rogatkach stali rosyjscy żołnierze.

Prababcia wspominała, że byli zaskoczeni stanem przyrody w Polsce, ponieważ wyjechali z Bośni kiedy czereśnie się kończyły, a ze śliwek robili już powidła. W Polsce czereśnie były jeszcze zielone, to był czerwiec 1946 roku. W ich przydzielonym domu mieszkali jeszcze Niemcy. Wspólnie z nimi mieszkali do końca 1946 roku. Niemcy byli bardzo dobrymi ludźmi, pomagali im zadomowić się. Razem obrządzali w stajni, gdzie były dwie krowy. Po ich wyjeździe prababcia Rozalia zajmowała się gospodarstwem, dziadek pomagał. Mieli dwa hektary pola, orali je wynajętym koniem. W pobliżu ich pola było tymczasowe lotnisko armii radzieckiej. Stały tam zniszczone rosyjskie samoloty bojowe, które demontowano i wywożono. Znajdowały się tam groby lotników radzieckich, które

ekshumowano. W czasie orki dziadek zbierał niewybuch, karabiny i naboje. Składowano je w wyznaczonym punkcie w miejscowości.

Po przyjeździe do Polski nagabywano ludzi do wejścia z ziemią w struktury Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Podczas jednej z rozmów prababcia Rozalia zapytała, czy da jej jeść ten PGR, zdezorientowani urzędnicy wyszli i więcej się nie pojawili. Prababcia mając dwie krowy potrzebowała łąki do wypasu, w związku z tym zmuszona była wydzierżawić łąkę od PGR. Nie było to proste, po wcześniejszej odmowie. Po uproszeniu, dostała kawał pięknej łąki w dzierżawę niedaleko gospodarstwa. Za te dzierżawę prababcia i babcia plewiły buraki cukrowe na polach należących do PGR. Narastało pracy w gospodarstwie, tak więc 19 letni dziadek Jan zakupił pierwszy traktor na żelaznych kołach tzw. Lanz Bulldog. Kolejnymi były 2 Fordy na benzynę.

Paśmą mojego dziadka były motory, pierwszy motocykl WFM zakupił w roku 1950. Wziął udział w zawodach motocyklowych w Warcie Bolesławieckiej. Miał jeszcze inne motory. W roku 1952 musiał jeden sprzedać, by zorganizować wesele z Katarzyną.

Dziadek po przybyciu do Polski w roku 1947, zaliczył kurs szkoły podstawowej – klasa VII i otrzymał świadectwo. Zaczął poszukiwać pracy. Pierwszą pracę otrzymał w Bolesławieckich Zakładach Kamienia Budowlanego, kamieniołom Wartowice. W tym kamieniołomie wydobywano kamień piaskowy, który wywożono do odbudowy zniszczonych miast. Była to ciężka, niebezpieczna i bardzo trudna praca. Kamień wydobywano ręcznie, był jedynie dźwig linowy, który transportowano bloki skalne na platformę transportową. Pracowali tam również Niemcy, którzy pomagali Polakom przy uruchomieniu wydobywania kamienia. Dziadek pamięta Niemca, który pracował w kuźni, spotkał go około 1970 roku w Wartowicach na spotkaniu mieszkańców. Wspominali stare czasy wspólnej pracy. Dziadek interesował się elektrycznością, więc około 1953 roku zdał egzamin na kursie elektrycznym i otrzymał świadectwo wykwalifikowanego elektryka. Po ukończeniu kursu, pracował krótko w rozdzielni energetycznej w Iwinach. Pamięta, że pewnego dnia wystąpił zanik napięcia na jednej z linii energetycznej zasilającej kopalnię ZG „Konrad”. Otrzymał telefon, aby sprawdzić gdzie wystąpił zanik i natychmiast naprawić, ponieważ stanęło wydobywanie w kopalni. Dziadek nie miał urządzenia do sprawdzenia awarii. Jego współpracownik wziął próbnik zrobiony z żarówki i poszedł przy wysokim napięciu sprawdzać usterkę. Nie pomyślał o konsekwencjach, doszło do wypadku i ogromnego poparzenia ciała prądem. Po tym zdarzeniu dziadek przeniósł się i 8 września 1960 roku zatrudnił się w ZG „Konrad” w Iwinach. W pierwszych latach kopalnia była rozbudowywana, kopano głębsze szyby. Dziadek Jan zakładał główny kabel energetyczny w nowym, pogłębnym szybie. Praca

w kopalni również była trudna i niebezpieczna, zdarzały się wypadki, w których ginęli ludzie. W latach 70-tych z kopalni otrzymał przydział na samochód osobowy i zakupił auto marki Skoda 100, był to pierwszy samochód w jego rodzinie. Pracował w kopalni 26 lat, tj. do 17 stycznia 1986 roku, cały czas jako elektryk pod ziemią. Otrzymał zasłużoną emeryturę.



Fot. 2 i 3. Fotografia Jana Sowy w legitymacji ubezpieczeniowej (rok 1960)

W 1952 roku ożenił się z Katarzyną z domu Pruchnik, która również pochodziła z rodziny osadników przybyłych z Bośni do Gościszowa. Mieli 9-cioro dzieci (5-ciu synów i 4 córki). Rodzina do 1963 roku mieszkała w Wartowicach, ale ze względu na zbyt mały dom i niewielką ilość ziemi, która była bardzo oddalona od domu, Jan Sowa zakupił gospodarstwo rolne na rozdrożu w Żeliszowie (dom z zabudowaniami i 7 hektarów ziemi). Był to przed wojną zajazd, gdzie można było zjeść i wypić. Dom trzeba było wyremontować, ponieważ był bardzo zaniedbany. W roku 1964 zakupił traktor Zetor 25 w Lubaniu w POM-ie (Państwowy Ośrodek Maszynowy). Jadąc do domu zatarł się mechanizm różnicowy i nie można było go nawet holować. Jedyne wyjście okazały się metalowe sanie, na których ściągnięto traktor do Mściszowa. Rodzina hodowała krowy, świnie, kury i kaczki na własny użytek. Dziadek posiadał również pasiekę, z której czerpał miód. Na ziemi siał zboża, sadił ziemniaki. W latach 1975-1990 r. sadzono truskawki, które zbierali rodzice i dzieci, nie zatrudniano zbieraczy. Ze zbioru truskawek były pieniądze na życie do jesiennych zbiorów płodów rolnych.

Dziadek Jan zmarł 11 czerwca 2004 roku, a babcia Rozalia zmarła w roku 1973. Mój dziadek Jan Sowa był wspaniałym człowiekiem. Pozostawił swoją pasję do pracy na roli swoim synom, którzy przejęli gospodarstwo. Moi rodzice właśnie zakupili mi pierwszy motor. Mój tato w tym roku pozyskał pierwszy miód z pasieki.